KAZIMIERZ HOFFMAN

DRZEWO OBIECANE

KAZIMIERZ HOFFMAN

DRZEWO OBIECANE

KAZIMIERZ HOFFMAN

DRZEWO OBIECANE

Wydawnictwo Literackie Kraków

taak To był inny To był inny
świat —
Rozbieganych po niebie
gałęzi — Wirujących u szczytu
zapachów

POSTÓJ ARMII

zatrzymaliśmy w końcu nasze łamiarnie: to było tu. **Łąki**, winnica,
ocienione domostwo. Dokładnie bardzo,
według Jego odczucia, porozmieszczana natura;

zakres mego rozumienia nie przekracza
przedmiotów,
które mnie bezpośrednio otaczają
— wyjaśni potem, po latach wielu

w *Przechadzce siódmej*;

zapach najbliższej trawy unosił mu twarz

— i ten obraz znamy z przekazu. Przechytrzył zatem,
przechytrzył nas wszystkich. Ograniczony, podobnie jak my,
przecież okrążył i zajął Ziemię
nam dotąd nie znaną; ujrzeliśmy dobrze. Tego ranka,
tu nad brzegami jeziora Bienne,
jawił się nigdy nie spotykany dotąd w naszych państwach
z zakrzywionych żelastw
lekki i odmienny (więc
czy rzeczywisty?) świat:
rozwidlenie dwóch długich
pręcików głowienki,
wybuch
balsaminy, torebek bukszpanu
tysiące małych igraszek
owocowania, które obserwowa-
[liśmy
po raz pierwszy.

PUNKT

Brak odniesienia —

wielość;

lotne mechanizmy o zmiennych układach skrzydeł,
przemijające ze świstem;

trzask figur; i

rozrzut;

brak odniesienia.

Powrócić tedy.
Jedną parą oczu. Ku zielonemu punktowi.
Na nieodmiennej płaszczyźnie.

WIDOK MORZA ZE SZCZĄTKAMI „CARAVELLE"

pamięci J. S.

wyspy; nie podlegająca przemianom roślinność mórz
na Południu!
Wytworny kredowy papier,
znakomita fotografia. Chwyt szefów reklamy był prosty:
przemieszać złudzenie z prawdą; narzucić
olśnienie, to znaczy: w umiarze przepych
i w umiarze prostotę

Poezja zatem wydaje się być wciąż jeszcze
celem wielkich towarzystw lotniczych.

Popatrzmy na zdjęcia: *mare*

jakiś Norweg o pomarańczowych bokach ciągną-
cy za sobą wolno długą smugę dymu niby
w czasach parowców;
nisko, z samej czerni wstające obłoki;
nieustanne złudzenie
białej architektury... spokój. Odkładam prospekt. Czuję

nagłe pragnienie lotu ponad wodami
i zlądowania w Ajaccio. Mocne. Choć daremne przecież;
wiem już; i nie na czasie, bowiem

w tej samej chwili niemal przychodzi mi na myśl
utrwalony przez kamerę widok: moment,
kiedy pierwszy z ekipy
płetwonurków
odgrzebując na Morzu Martwym ze smarów i zgęstnia-
łej oliwy starte do pra-wzoru, do czarnej pestki
twarze Przedmiotów
krzyczy na migi raz w niebo, raz w głębię

tu są. Znalazłem ich.

ZAMOYSKI

Jeszcze go słyszy, poświstującego na wietrze,
przy swoich mobilach. Teraz jest chwalony w Wenecji
i u Guggenheima.
On pozostał na miejscu.
Najtrwalsza jest bryła. I to go skłoniło. Pozostał więc
na miejscu. Jest zimny. Ma wiele lat. Jak zima.
„Przegrana z wyboru" — kto tak o nim pisał? Zresztą
nie o pośpiech tu idzie.
Tak. Myśli o stylu. Ręce ma zimne,
stopy ma zimne. Dookoła jest zima. I czarne ptaszysko,
[wrona pospo-
lita w zaśnieżonym tle, z krzykiem unosi suchą metaforę:

drzewo.
Równina.

KROPLA

Skręcając szybko w lewo biegło się na łąki
mówiono *jesień* ktoś wołał *wiatr*

— — —

Bielawy były zawsze
pastwiskiem latawców. To niezbyt dokładne
pergamin Sznurek Lecz sposób życia Drżenie ich
skowyt Ten posłuch nagły na eheu malca
A jednak często
myślałem o nich jakby o zwierzętach
przed ujarzmieniem. A więc O psy, mówiłem Patrz
wilki Z tym całym zgrzytem siekaczy
warkotem O rajskie ptaki Lecz te najszybciej
tracą na drutach sex Co Ogony Smoki na serio
zajadłe Słońca ach Gwiazdy wróżą koniec epoki

to o latawcach. Mówiono jesień Jesień
szła już w ogniu Papiery klonów płonące w powietrzu
Przemiany przemiany Pamiętam jeszcze
na skraju jezdni
człapał jeż
Nadeszła kobieta Przyklękła, uniosła: „Nie bój się
nie bój" Patrzałem za nią *Pielęgnując dobro*
dochodzicie sensu Po dwa po cztery stukały kasztany

I pierwsza kropla upadła cicho

KAMIEŃ LE CORBUSIERA

Kaplica w Ronchamp. Grzyb
we frankońskim lesie. Nie do zdeptania. On jeden.
Pomimo rozmiękczeń
powstałych za Matisse'a pod czapą budowli,
ciągle przypomina kamień dla obrony.

GŁOWA

Z wiedzą o rozpadaniu się pysznych miast i to,
że giną, budował Frederick Kiesler swego *Dawida*;

był w formie i rzeźba jest dwoista.
Oto łagodnie lśnią: wygięta w śniadym metalu dłoń,
dłoń h a r f i s t y
i
drobna, skręcona nieco, jak w przyciasnym
lakierku, stopa. Oba szczegóły wydają się być zresztą
muzyką
dla uśpienia oglądających

i są piękne;

stójmy chwilę jeszcze. A jednak
cel całego zamysłu jest zgoła inny, choć Kiesler,
jak wiemy już, myli uwagę. Zdradza go nam
od początku samego wielki wektor owej kompozycji —
nie naruszona w swej jedności głowa:
zwięzła,
w kwadracie, z podwojoną
szczęką. Oko —
okrutne ptasie oko
pogardzanej rasy, które zaczęło, widać to wyraźnie,
kombinować.

W GIARRE

— Odchyliwszy gałąź ujrzałeś pęknięcie
w czym tkwi przyczyna
— W słabości
— Nie
— W żelazie
— Nie zgaduj. W spłynięciu wód: podskórnych wód
do pachwin rzeki.
Oto następstwa ciągnięcia kolektora
tak mówią tu architekci
i milkną. Zresztą ci drudzy z Giarre, ci z dołu,
tłumaczą rzecz całą
dokładniej: obsuwaniem się piasku,
popłochem kryształów i pokryw zaschniętych (od kiedy skąd) żuków — pod korzeniami
trifolium i domu. Ta cała dzielnica hen stoi na piaskach lotnych, dodają. Zapada cisza. Bo cały nasz świat
stoi na piaskach, to szepnął ktoś z boku

jest parno. Zadarłszy głowy
spoglądamy na Etnę

*
* *

Hilton rezygnuje.

Dwie wzdłużne plamy na białym tle. I brak języka.
Próbował w skos: każde ich przesunięcie tworzy wciąż
nowe podziały. To na nic. „Sprawdźmy robotę w równaniu,
na cyfrach" — usłyszał kiedyś. Uśmiecha się gorzko;
ten wariat był z Hagen.
Powrócić do koła?... Chłód. Brak języka.
— wolno odwraca obraz. Przeciąga palcami: pojmuje oto,
że przedmiot wypełnił się chłodem (nie tym jednak,
który zamierzył),
że jest już n i e s w ó j,
jak srebro na podniebieniu.

Roger Hilton — autor obrazu June, 1953.

BENN

Cała wiedza tkwi w uchu. Trwały nawyk niemyślenia
[o dacie,
w której owa chwila nas znajdzie (...) Przesuwanie się
[oka od punktu A do
F i — momentalnie — do C; przemyślność (mimo obez-
władniającego, jak sądzimy wciąż, strachu) w sposobie
kurczenia się za biurkiem, za książką, wiązanką stokrotek,
[kierownicą
rajdowego samochodu. Wszystko ważne, zgoda,
przede wszystkim jednak

cała wiedza tkwi w uchu. Grzmot kropli z kranu
domowego. Trzask niespodziany piórka
na szybie altany. Kroki (szmery)
nad głowami. Na dachu. Właśnie to. Sklasyfikowaliśmy
[wszystko
i rozróżniamy bez błędu. Trafna robota. Jeśli wierzyć
w sprawiedliwość,
to poznają się, ach uwierzmy w to,
na naszych intencjach. Ostatecznie: szło nam o możliwie
jak najdłuższe uchowanie się zwierzęcia.

Ciekawi mnie jednak co innego —

Die Krone der Schöpfung, das Schwein, der Mensch
— rzucił nam Benn, po czym wrócił do ziemi. Napisał jak
potrafił, a potrafił tak wiele. Doświadczony poeta,
otwierał klatki piersiowe długim,
zimnym nożem
i kładł w nie astry. To się ciagnęło. Przez długie lata
odziany w swój biały kitel, nie odchodził od stołu... Było

duszno. Podążaliśmy do wyjść. Reflektor bez przerwy
[świecił.

— Czy napisał jak wierzył? P o z a sceną?
Ta ostrożność, te pytania nie znanej nam wciąż jeszcze
[poezji.

NAPIS NA ODWROCIE OBRAZU

I kiedy błysnęło —
spadł

u j r z a ł e m s t o p ę

wstawało morze
był wiatr
był wiatr

napiąłem płótna
rozdarłem płótna

. . .

ten spokój świata pojąłem potem

W KROJANTACH

nagle przyspieszając otoczyliśmy miejsce. Z dziobakami
z jastrzębiami kamer na ramieniu
z kciukiem uwalniającym wąski a długi sprytnie jęzorek taśmy, który czule (ultra) utrwali
wrzask trawy i zgrzyt kropli na pochylni listka
pilno tobie teraz

odtworzyć ową rzecz. Chwila jest dogodna
lasy naokoło i lasy. Z szelestów tło. Chwila
jest dogodna *Stłumioną trąbką*
przywołuje nas wrzesień. Tak myślisz

zostaw. Cała ta zwarta, obracająca się na osiach
oleistych brzezina, o licznych
kontrolowanych jednakże wszędzie
wybuchach niezniszczalnego (zaufaj) światła
bez końca
przesłania nam widok. Tak już pozostanie

nie zdołamy. Nigdzie wyrębu na wolną
względnie chociażby dogodną przestrzeń,
którym odtworzony przez ciebie w umyśle mechanizm
mógłby wpełznąć chyłkiem,
naciągnąć ów płomień i
nieruchomiejąc (na moment)

roztrzaskać krajobraz. A tamci, konni, naprzeciw. Jak mogliby rozwinąć swój pierzasty, swój cwałujący z nagła szyk. Użyć krzywej stali. I tych długich w oksyd
po trzykroć zanurzanych szpil

w takiej gmatwaninie gałęzi, lepkich liści, traw

zatarty już dawno odległy jak Brundyzjum czas
to miejsce, tamta historia. Dołem, od korzeni,
od wrzosu
podchodzi do nas cisza
i składa swe jaje. Jej wyczuwalna kulistość

. . .

zostaw. Dla rachunku jedynie,
d l a z g o d n o ś c i z nimi
odnotowujesz dziwny dziś, dumny
przedmiot: czaszkę mężczyzny z ułańskiego pułku.

Krojanty — miejscowość w Borach Tucholskich, znana ze starcia polskiej konnicy z niemieckim zagonem pancernym we wrześniu 1939 r.

ZA WALENSA

i dotrwać. Być świadkiem

rozćwiartowania wołu w poprzek kontynentu;
tak kończy Cesarstwo — o tym co nastąpić musi
wiedział już od dawna: jedna po drugiej
padały prowincje — *Odczekać tedy nieco* —
nie stawiał na to, że nagle jest cisza
i podejść bliżej. W dymiących trzewiach
liczne bardzo miejsca na schowki i na gniazda
ropień. Odór. Bakterie. Trzymać wszystko spokojnie
doczekać tak końca. To jest początek

unikał wróżb. Wolał sam dotknąć
i wrócił do Rzymu. Znawca świetny portretu,
zawsze doceniał obraz: za Walensa (gardził nim)
ujrzał: młody niewolnik
prowadzi źrebię w skocznych pyłkach lipca: rozrośnięte
i płowe —

wbiegli na Schody... To też zapisał.

CZERWONY „TRIUMPH"

1

Z prawej na lewą z lewej na prawą stronę drogi
[odskakująca linia
pod osiami kół
daje obraz pędu i rozchwiania słów
całego poematu. Przykład jest jedyny: jak Stirling Moss
w biegu trzynastym. Ale

nie o obraz tu chodzi. W równej co on bowiem mierze
mógłby wyrazić to swąd

żarzących się przewodów albo i krzyk
samego młodzieńca. Porównań jest wiele. Pęd je odrzuca
na krzywiźnie toru, unosi wiatr. Jedno tedy
w tej chwili można powiedzieć:

młodzieniec się spieszy. Rozprasza skupia liście wapień
[obłoki
nawiewa je w całość rozbija całość, czując wyraźnie
końcami palców:
z rozpadu świata żyje poemat.

2

Myślę coraz częściej o przedziwnej scenie:

Z oliwnej dali nadchodzi biało starzec
wołamy doń Marku i osłupia nas cisza. Tak, patrzeć mu
na usta, wnioskować o życiu z odlotu wąskich palców,
[o losie

z brwi —
cokolwiek by ujawnił, przyjąć jako
własne. Celowość. Zwięzłość znaku. O zwięzłość idzie
[w końcu.
Wyrazić c e l o w e to odejść do starców przed chaosem
[krwi
— powiada instynkt

*

spoglądam na Bursę: wykręcił teraz w lewo: wpada na
[trasę —

ŚWIETLISTE

Zaczątek budowy —

szczegół krajobrazu, ruch, uchwycony w obcym,
zapamiętany, trwale, we własnym kraju, własny, ów stateczek
przesuwany ręką
świetlistą po morzu do Neseber!

LEVEY I STARY B

A przecież to co uderza najbardziej
to w s p ó ł c z e s n o ś ć całej tej sceny

sześć czarnych świec. Anton S. Levey szpo-
niastym palcem kiwa na Jayne (obecni dyszą). Kobieta
jest wspaniała; przeciąga się teraz; powolnym ruchem
rozchyla szkarłat —
ssanie;
ogromna, mleczna pierś
tryska na ustach Kapłana Diabła

*

Być może: ratunek leży w prostocie, w powrocie
do zielarstwa. Wiem, przydałby się pies
wylizujący ranę, ten świat, swoim szorstkim językiem

Tymczasem jesteś w środku; sam; otacza cię ropa
tęczująca mocno — — — — Ty
rób coś! Chwyć się czegokolwiek

zapytaj już lepiej o drogę do Mayas, ułóż nowelę,
licz gniazda kawek lub kroki przerywane na żwirze
za drzwiami, do których przytknąłeś właśnie
nadwrażliwe ucho

*

„Cokolwiek utraciłem ma swój początek w zwątpieniu"
to Jan. Obraca wolno twarz
i stoi w miejscu. Jego wzrok. Jego zmęczenie.
A motory wsiąż idą. I pędzi żelastwo (wysoko

na chmurach — montuje się w pośpiechu
niezbadane znaki)

Wydziedziczony z nadziei,
rzucony w pusty, niepochwytny, raptem, świat
wrócić musiał w końcu na żebry
u losu

Nie bierz tedy z ręki wydziedziczonego.

To co wiąże mnie teraz
dotyczy równowagi, dokładniej zaś: ładu.
Pod koniec lata raz jeszcze byłem
w Tleniu; był spokój; w ciszy kolistej zaszedłem pod las; na dawnym miejscu
wiekowy już B ciął i łączył drewno
odkładał je na prawo, odkładał je na lewo
stało wielkie niebo
tak powstają grabie — pomyślałem — wrota do stodoły
a niekiedy miasto.

KAMBIUM

TAMAYO ODPADA

— Malujesz zieleń?
— Buduję liść.

Niepewnie nieco jeszcze, na podkurczonych łapach,
wraca rozwaga. Jak dużo. Można już budować,
nie szczędząc rzemiosła.

Tamayo odpada. Z przedmiotów w świetle
to co najprostsze wybiera sobie oko
i stawia przed sobą.

Trwa praca: szczegół
po szczególe
scala się obraz. Dwa wzgórza, w dali,
zbłękitniałe lekko. I forma mocna u samej krawędzi
zmiennego obłoku —

drzewo: chwytne jak imadło, proste rękodzieło,
co odosobnione naraz, wydaje się nam świadczyć tylko
o kłopotach (i uporze) starego wytwórcy,
zanim nie zakwitnie.

Z POŁUDNIA

Ich odejście nie musiało być nagłe.

Nienaruszony dotąd układ rzeczy
świadczy o spokojnym postanowieniu. Umiar
klarowność, po dalekie wzgórze
na północy

nie odda tego rzeźba z akrylu ani
cyfra

To odejście nie musiało być nagłe,

chociaż kilka znaków na łupkach,
na piasku
przeczy temu, wydaje się przeczyć

pozostał ślad. Pozostał jakby odblask
narzędzia

i ślad
stromej czyjejś stopy, przebiegającej coś
co — w nagłym zbliżeniu — przywodzi na myśl

magmę. Nieruchomą teraz; w Torre del Greco.

MORAVIA. WARSZTAT

Ze starych tablic na szybkim portablu przepisywany
wzór;

jak mało tego. Nic poza następstwem ilościowym znaków
na szarym pustkowiu nieskalanej kartki w monotonnym
świetle; ruch? Ruch mechaniczny. Tak, tempo jest
odmierzone; nieruchomy nastrój. Plecami bez przerwy
czujesz: wielkie ziewnięcie pod nieruchomą maską
Dyktującego.

. . .

Jak golf przez głowę ściągnąć, odrzucić
dzianinę Stylu w oranżu spłowiałym i poczuć znowu
nagość! Dlatego jest w Houston.
Wywiad z tym Niemcem słowa
Zdążając obok jego obcej twarzy cyfr
i sformułowań technologicz-
nego języka
wychodzi wreszcie na swoje: przed wielki srebrny ekran
księżycowej transmisji!
Armstrong już zeszedł.
Teraz schodzi Drugi.
Moravia chwyta. Szybko i prosto
naraz (w zwyczajnej mowie)
chwyta
rozszczepiającą się przez moment lecz zaraz
scaloną — jak uchwyt (jak
szczegół) istotę fenomenu; notuje

i stanął drugi. A potem powiedział owo wielkie
i zarazem małe: znalazłem purpurową skałę *
i księżyc się zaludnił.

*

— *Księżyc*, pisałeś
— *skała*... Obojętnie zresztą co. Byleby poczuć to przy policzku.

---

* *Słowa Edwina Aldrina na Księżycu.*

*
* *

Cały ten las, tak jak go widzi,
promień przy promieniu, niweczy w pewnej chwili,
przymknąwszy powieki;

oddycha znowu
— póki jest sam, póki nie otworzy znów oczu.

1964

— jak Tam jest, mamo?
— ciężko, synku...

przypomina sobie, że dotknąwszy jej
podprowadził ostrożnie do drzwi.

Kiedy już schodziła, nie słyszał wcale
jej kroków

i to go właśnie uderzyło.

Pamięta jeszcze, że podszedł potem do okna,
by się przekonać
czy śni. Ale szyba była szybą,
na dachach stały jak stały
anteny; w dole,
wyjeżdzającego zza rogu,
ujrzał opla: piękny lśniący model 1964.

*

* *

fruwajmy ptacy! To stoi bez kory

zaś drudzy milczą. Wspomnienia,
odwracające się głowy

skąd światłem biegło: tylko piony.

ZEZNANE W KOLONII

pamięci Marka H.

Zastanawiająca sytuacja w jakiej znaleziono
Jana Dunsa Szkota po odgrzebaniu go, po kilku dniach,
w Kolonii
świadczyła niewątpliwie o aktywności ludzkiej woli
w przypadkach bez wyjścia,
takich jak przybicie do krzyża, zrzucenie z mostu,
pożar samolotu
albo też chowanie, jak było, w śnie letargicznym;
wobec tego nie będzie chyba szaleństwem zakładać,
że słysząc wokół
drobne syczenie pęcherzyków ustawicznych soków
niby w chłodnym syfonie od spodu ziemi
ku górze, na samą jej powierzchnię, do czubków trawy
pospieszających —
Obudzony
czuje w pewnej chwili coś jakby szansę; układa nawet Plan
w oparciu o swą wielką wiarę (...)

jest jednak s a m.

Odwaliwszy wówczas wieko
ujrzeliśmy tylko jedno: miał pogryzione palce.

UCHWYTNE

. . . . . .
. . . obraz się zaciera. Czego się spodziewasz?

(ból)

przyjąć to
co uchwytne: ciągłość bólu w przerywanym rytmie,
p o t w i e r d z o n y ruch

. . .

znowu jesień. Dni są coraz krótsze
i lecą liście.

INNY PRZYKŁAD

A. „Zasypany po dwakroć Powiedziałbym
w śniegu Pod klinowym pismem drepczącego dropia
pod szronem zgoła
A jednak jest z ognia
Ze skrzydła na skrzydło
przerzuca pożar ptactwo jego krwi

I nie znam bardziej szalonej nadziei"

wiersz się powtarza. Na dziesięć palców wyćwiczony sposób przesunięć obrazów, podpatrzony chwyt,
jak gdyby sprawa wynikała z chwytu
i reżyserowanego widzenia;

weźmy inny przykład: Miasto. To Miasto jest
w kleszczach — mówią poeci. Kleszcze
są z dymu. Dym
zaciskający serce. Serce zwierzęcia
z drugiej połowy rozpadającego się stulecia. Stulecie
rozkładu. Rozkład
cywilizacji Cywilizacja
końca Tak Koniec wiedzy Wiedza początku

pod nieogarniętym imperium Słońca
— mówili poeci pierwszej generacji. Okręca,
okręca nas b e z m i a r i wiersz się powtarza

B. Wiem, szczegół jest łaską. Posłuchaj raz jeszcze
tamtego stenogramu:

Rugiatti, nurek, do speca z Marynarki:

odcięli. Tonąłem tedy niedaleko Wysp. Na stu-
siedemdziesięciometrowej głębi okrążył mnie, biało,
delfin
i wyniósł na powierzchnię.

ANDRÉ BAUCHANT I PANCERNIKI

1

są. Stoją już na redzie. Spiętrzona góra masztów, armat
i kotwic świadczących o potędze
i rozwoju Floty
— w leniwym kołysaniu. Jutro
mają zacząć...
— nie wierzy jakoś; uśmiecha się do siebie. I mruga
do stokrotek, których rośnie tu wiele.

2

— zaczyna malować.

3

Świat, port i okręty
to tylko elementy,
do których trzeba będzie się zabrać w terminie póź-
[niejszym.

André Bauchant (1873—1958) — francuski malarz prymitywista.

KUPKÓWKA

Sprawa jest otwarta. Niemniej jednak, niezależnie od końcowej (i nie naszej) decyzji, od rozstrzygnięcia
alternatywy: t r a w y, albo:
trzydziestokilkumetrowa ściana z żelbetonu, z dzwonami na szczycie,
opactwa Benedyktynów w Minnesocie, projektu Breuera,
niezależnie od kilku spraw —

jedno daje się już wyczuć:

klasyczne budowle wieku:
dom Sturgesa w Brentwood Heights, Główna Ulica
pod palami wpustowymi fundamentów
(na których lekki taniec srebra i fioletów, ożywiający materię, mógł powstać tylko dzięki formom
jakich domaga się dziś od artysty technika
i ekonomia — tłumaczył mi niedawno współczesny Francuz)

klasyczne budowle wieku

dyszą. Zmuszony do skoku, frunięcia od siebie,
do lotu, tańca, do
stójki przez całe lata, do stójki na dwóch łapach
beton — dyszy. Puszczają mu wiązadła:
zatraciwszy całą zwrotność
pada. Przykład: Wał Atlantycki.

W tym samym czasie
kupkówka nie traci czasu. Przenika. Pylek jej kwiatu
rozprzestrzeniany przez wiatr,

łącząc się z żółtym kurzem od meklemburskich lasów,
który sto lat temu tak zadziwił Duńczyków,
steruje prosto do Kambium. Widać już pierwsze wieże
[zielonego świata.

---

kambium — strefa wzrostu u roślin, krzewów i drzew.

Z Berta Moebe

W ZALESIU

nieustanne wymiany; świst; te dysze odrzutowe
nowej generacji. Nieustanne wymiany. I nowy krajobraz:
las. Wyrzutnia w śniegu,
jej pazur czarny nad wschodzącym słońcem.
— zatoczywszy tedy koło wróciłem przez pola.

MOORE, GDY POTWIERDZA

ruch, scalający t u, w środku (...) obala nam rzecz
gdzieś z boku. Znał to. Podpatrzył dobrze.

A niżej:
Zachwiany w swej stolarce szczegół, wspornik
krajobrazu, zrównoważony jest
stabilnością drugiego

pisał:
tak-nie nieodmienne w listowiu, na pionach
to fraza, mój chłopcze, zwarta harmonia

forma. Trzymać ją osobno — oddzielać?
... chłód; wywraca się samotnie
(a to już nawet wygłusza dźwięk) i płoszy oko
dopóki przestrzeń —
wypchnąwszy ją z udziału
nie rozrzuci na ukos, jak resztki..., kość wołu
na landach, ... wśród swoich bezmiarów

. . .

stawiając ją przy liściu, ujrzałem że dopełnia.

SPIS TREŚCI

Postój Armii 7
Punkt 8
Widok morza ze szczątkami „Caravelle" . . 9
Zamoyski 10
Kropla 11
Kamień Le Corbusiera 12
Głowa 13
W Giarre 14
***(*Hilton rezygnuje...*) 15
Benn 16
Napis na odwrocie obrazu 18
W Krojantach 19
Za Walensa 21
Czerwony „Triumph" 22
Świetliste 24
Levey i stary B 25

KAMBIUM

Tamayo odpada 29
Z Południa 30
Moravia. Warsztat 31
***(*Cały ten las...*) 33
1964 34
***(*fruwajmy ptacy...*) 35
Żeznanie w Kolonii 36
Uchwytne 37
Inny przykład 38
André Bauchant i pancerniki 40
Kupkówka 41
W Zalesiu (z Berta Moebe) 43
Moore, gdy potwierdza 44

Okładkę projektował
ADAM KORPAK

Redaktor
EWA LIPSKA

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971
Wyd. I. Nakład 600 + 180 egz. Ark. wyd. 1,2. Ark. druk 3
Papier druk. mat. kl. III, 82 × 104, 70 g.
Oddano do składania 18 IX 1970
Podpisano do druku 28 XII 1970
Druk ukończono w styczniu 1971
Zam. nr 478/70 Cena zł 10.— D-6-1652
Drukarnia Wydawnicza w Krakowie, ul. Wadowicka 8

Cena zł 10.–

KAZIMIERZ HOFFMAN urodził się w 1928 roku w Grudziądzu. Ukończył socjologię na Uniwersytecie Poznańskim. Obecnie pracuje jako korespondent PAP w Bydgoszczy.
Wiersze publikuje w czasopismach literackich, w Polskim Radio—audycje poetyckie. Debiutował w 1960 roku tomem wierszy „Trzy piętra domu" w Wydawnictwie Morskim. W cztery lata później w tym samym wydawnictwie wychodzi zbiór „Zielony jesteś". W roku 1967 nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się trzeci tom jego wierszy pt. „Rousseau".